

James Joyce

Portret artysty
w wieku młodzięcym

Przełożył Jerzy Jarniewicz

III

Grudniowy zmierzch niczym cyrkowy klaun wtargnął znieuważając po mdłym dniu na scenę, a Stephen, wyglądając przez szary kwadrat okna jednej ze szkolnych sal, usłyszał, że burczy mu w brzuchu. Miał nadzieję, że dostanie na obiad gulasz, rzepę, marchew, tłuczone ziemniaki i tłuste kawałki baraniny w gęstym, pieprzowym sosie. Nafaszeruj się, radził mu brzuch, naładuj do syta.

Noc będzie ciemna i tajemnicza. Zmrok zapadnie wcześniej, a potem tu i ówdzie zapłoną żółte lampy i rozświetlą plugawy rewir lupanarów. Będzie snuł się po ulicach bez celu, zakreślał coraz mniejsze kręgi, drżąc ze strachu i radości, aż nogi poniosą go niespodziewanie za róg mrocznej uliczki. Kurwy zaczną wyłazić z domów i szykować się na noc, będą ziewać w sennym rozleniwieniu i przeszywać szpilkami gęstwiny swoich włosów. Przejdzie obok nich spokojnie, czekając na nagły ruch własnej żądy albo na równie nagły krzyk ich wonnych, miękkich ciał przyzywający jego rozkochaną w grzechu duszę. Kiedy jednak będzie snuł się tak w oczekiwaniu owego głosu, jego zmysły, przytępione jedynie płonąca w nim żądzą, zauważą wszystko, co przynosi im ból i zawstydzenie: jego oczy – spieniony okrągły ślad po portrze na gołym blacie albo zdjęcie dwu żołnierzy stojących na baczność, albo jarmarczny afisz; jego uszy – przeciągły szwargot powitania:

- Siemasz, Bertie, szukasz przyjemności?
- To znowu ty, frajerze?
- Pójdź no pod dziesiątkę. Nelly dziewczica czeka na ciebie.
- Dobry wieczór, mężusiu. Wpadniesz na chwilutkę?

Równanie na kartce jego kajetu rozkładało swój szeroki ogon, upstrzony jak u pawia okami i mrowiem gwiazd; a kiedy usunięto

zeń wykładniki potęg, przypominające oczy i gwiazdy, ogon zaczął się powoli zwijać. Wykładniki, które zjawiały się i nikły, były oczyma, które otwierały się i zamykały; a oczy, które otwierały się i zamykały, były gwiazdami, które zapalały się i gasły. Potężny wir gwiazdzistego życia wywabił jego znużony umysł na zewnątrz, na sam jego skraj, a potem poprowadził w głąb, aż do środka; a tu i tam towarzyszyła mu daleka muzyka. Jaka muzyka? Muzyka ta napłynęła bliżej i przypomniał sobie słowa, słowa z niedokończonego wiersza Shelleya o księżycu, co snuje się samotnie, błądzący ze znużenia. Gwiazdy zaczęły się rozpadać, a w kosmiczną przestrzeń runęła mgławica drobnego, gwiazdowego pyłu.

Szare światło coraz słabiej padało na kartkę, na której inne równanie poczęło się powoli rozwijać i swoim rozłożystym ogniem przekraczało kolejne granice. To jego dusza wyrwała się ku doświadczeniu, rozwijała stopniowo, od grzechu do grzechu, rozsnuwała poza obręb świata pożogę płonących gwiazd i ponownie zwijała się w sobie, blaknąc powoli, tłumiąc swe światła i ogień. Wkrótce wygasł, a zimny mrok wypełnił przestrzeń chaosu.

Zimna, jasna obojętność zawładnęła jego duszą. Po pierwszym haniebnym grzechu poczuł, że opuściła go fala żywotności, i bał się, że występki okaleczyły mu ciało i duszę. Tymczasem żywotna ta fala poniosła go na swoim grzbiecie daleko od niego samego i przyniosła z powrotem w odpływie; ani ciało, ani dusza nie ucierpiały, ale zapanował między nimi mroczny pokój. Chaos, w którym wygasł żar jego wnętrza, był zimną, obojętną samowiedzą. Stephen zgrzeszył śmiertelnie nie raz, a po wielokroć i wiedział, że już po pierwszym grzechu grozi mu wieczne potępienie, a każdy następny pomnaża jedynie jego winę i karę. Ani dni, ani czyny, ani myśli nie dadzą mu sposobności do odpokutowania grzechów, albowiem jego duszy nie oczyszczają już krynice łaski uświęcającej. Co najwyżej dzięki jałmużnie danej żebrakowi, od którego błogosławieństw uciekał, może mieć nadzieję, że spłynie na niego choć niewielka cząstka łaski uczynkowej. Po jego pobożności nie został żaden ślad. Na cóż zdałaby się modlitwa, skoro czuł, że dusza jego pragnie samozatrącenia? Pewnego rodzaju pycha,

pewnego rodzaju strach nie pozwalały mu ofiarować Bogu choćby jednej, jedynej modlitwy wieczorem, choć wiedział, że w mocy Boga jest odebrać mu życie podczas snu i strącić jego duszę w otchłań piekielną, zanim zdołałby błagać o zmiłowanie. Pycha, jaką wyzwolił w nim popełniony grzech, i pozbawiony miłości strach przed Bogiem mówiły mu, że obraza, której się był dopuścił, waży nazbyt wiele, by mógł za nią odpokutować w całości czy choćby po części przez jakiś nieszczerzy hołd złożony Wszechwidzającemu i Wszechwiedzącemu.

– Coś mi się widzi, Ennis, że twoja łepetyna równie drewniana jak moja laska! Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz, co to takiego liczba niewymierna?

Błędna odpowiedź roznieciła dogasający żar pogardy, jaką czuł dla kolegów. Wobec ludzi nie odczuwał ni wstydu, ni strachu. W niedzielne poranki, kiedy przechodził koło wrót kościoła, rzucał beznamiętne spojrzenia na wiernych stojących z odkrytymi głowami, w czterech rzędach, na zewnątrz świątyni, obecnych duchem na mszy, której ani nie widzieli, ani nie słyszeli. Ich tępa pobożność i mdląca woń marnej pomady do włosów, którą namaścili sobie głowy, odpychała go od ołtarza, gdzie się modlili. Zniżył się do zła, jakim jest zakłamanie wobec bliźnich, nie wierzył bowiem w ich niewinność, którą mógł tak łatwo manipulować.

Na ścianie w jego sypialni wisiał iluminowany dokument zaświadcający, że jest prefektem szkolnej Sodalicji Mariańskiej. W soboty rano, kiedy sodalicja zbierała się w kaplicy, żeby odprawić małe oficjum, zajmował miejsce na klęczniku z poduszeczką po prawej stronie ołtarza, skąd podczas responsorium kierował ustawionymi w szereg chłopcami. Obłuda, jaka kryła się w tej roli, nie sprawiała mu bólu. Czasami wręcz odczuwał przemożne pragnienie, by wstać z tego zaszczytnego miejsca i, wyznając przed nimi swoją niegodziwość, wyjść z kaplicy, ale powstrzymywało go przed tym krokiem jedno zaledwie spojrzenie rzucone na ich oblicza. Wizje zapisane w proroczych psalmach gasiły jego jałową pychę. Chwała Maryi zniewalała jego duszę: nard i mirra, i kadzidło, symbolizujące szlachetność Boskich darów dla jej duszy; cenne

sukna symbolizujące jej królewski ród; jej godła, późno pączkująca roślina i późno kwitnące drzewo, symbolizujące wielowiekowe wzrastanie jej kultu wśród wiernych. Kiedy przyszła jego kolej odczytania lekcji pod koniec oficjum, czytał ją matowym głosem, usypiając sumienie rytmem jej muzyki.

*Quasi cedrus exaltata sum in Libanon et quasi cupressus in monte Sion. Quasi palma exaltata sum in Gades et quasi plantatio rosae in Jericho. Quasi oliva speciosa in campis et quasi platanus exaltata sum juxta aquam in plateis. Sicut cinnamomum et balsamum aromatizans odorem dedi et quasi myrrha electa dedi suavitatem odoris.*²²

Grzech, który odwrócił od niego wzrok Boga, poprowadził go bliżej ku Ucieczce Grzesznych. Wydawało się, że jej oczy spoglądają nań z łagodnym współczuciem; jej świętość, dziwne światło jarzące się mdławo na jej kruchym ciele nie poniżało grzesznika, który się do niej zbliżał. Kiedy tylko czuł potrzebę wyrzeczenia się grzechu i odpokutowania, odzywała się w nim myśl, żeby zostać jej rycerzem. Jeśli kiedykolwiek dusza przepełniona wstydem wracała do jej przybytku po wygaśnięciu szaleństw jego cielesnej żądz i zwracała się ku tej, której emblematem jest Gwiazda Zaranna, „promienna i śpiewna, o niebie mówiąca i pokój czyniąca”, działo się to wtedy, gdy jej imiona spływały mu cicho na wargi, na których wciąż spoczywały słowa plugawe i haniebne, posmak lubieżnego pocałunku.

Dziwne to było. Próbował zrozumieć, jak to możliwe, ale mrok, pogłębiający się w szkolnej sali, spowił jego myśli. Rozległ się dzwonek. Nauczyciel zadał ćwiczenia i rysunki na następną lekcję i wyszedł. Czapła, siedzący obok Stephena, zaczął nucić pod nosem bezgłośnie:

Mój znamienity przyjaciel Bombados.

Książka dostępna w księgarni

